

Chróścielewski, Tadeusz

Antyгона

Rocznik Mińsko Mazowiecki 2, 181-185

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ANTYGONA

Na cmentarzu w moim rodzinnym mieście znajdują się nieopodal siebie dwa groby. Jeden pod murem, we wklęsnięciu terenu, niski, z niewielkim próchniejącym krzyżykiem, drugi masywny blochhaus, do niedawna patetycznie obkładany w Święto Zmarłych wieńcami przez władze tzw. polityczne i administracyjne. Na grobie pierwszym od kilku lat rodzina chyba już kwiatów nie składa. Czas robi swoje, z nią kostucha. W tym skromnym grobie leży przyjaciel dwóch moich siostr, co okupację przeżyły w kraju (nie tak jak trzecia w Kazachstanie). Jego nazwisko Władysław Rdułtowski, zawód: inżynier. Był podporucznikiem rezerwy i jako taki brał udział w kampanii wrześniowej. W grobie blochhausie leży maturzysta naszej mińskiej "budy", a więc mój oficjalny kolega z młodszej klasy. Ten w drugiej połowie okupacji został dowódcą czy jednym z dowódców dość ruchliwej, choć zdaje się, słabej liczebnie Gwardii Ludowej. Może tylko jednym z dowódców: rangi tam, w odróżnieniu od AK, która czując się dalszym ciągiem polskiej armii regularnej, była na ile pozwalały względy konspiracji, zorganizowana na jej wzór. Nazwiska jego J.S. ze zwyczajnych ludzkich powodów, które z biegiem tego wspomnienia staną się jasne, nie podaje - jedynie pierwsze litery imienia i nie tylko. Znamienne, że na obu ich grobach widnieje prawie ta sama data śmierci, a gdyby napisy grobowe były cokolwiek mniej zwięzłe, okazałoby się, że zginęli w tej samej miejscowości.

Przed kilku laty, pamiętam, telewizja prowadziła stałą audycję poświęconą wyjaśnianiu zagadkowych, o niezrozumiałym finale zdarzeń okupacyjnych - rzecz jasna, jedynie na terenie Generalnej Guberni. Prowadzący ją pan na przyciemnionym nastrojowo pustym tle, na którego środku na nieznacznym podwyższeniu stało puste krzesło, referował grobowym głosem znaną część danego wydarzenia, którego finał okazywał się jednak zagadkowo niezny, a mógł być ważny dla pełnych dzieł okupacji. Pan po zreferowaniu części wiadomej zwracał się dość patetycznie do wszystkich mogących wyjawić tajemnicę czy dodać dodatkowe dane, by zechcieli pofatygować się łaskawie na ul. Jana Pawła...Woronicza i zasiadłszy na owym krześle opowiedzieli milionom widzów, jak się rzecz dalej potoczyła od miejsca, od którego historia milczy. I właśnie smutny pan jedną z audycji poświęcił tajemniczemu śmierci J.S. i wezwał mogących coś do sprawy dodać na wspomniany fotel. Tak się zdarzyło, że kilka nader istotnych szczegółów do tegoż dramatu podrudzienkowskiego byłem i jestem w stanie dodać (jak przypuszczam mogła to uczynić i garść jeszcze żyjących osób). Nie zasiadłem jednak po upływie wyznaczonego czasu na telewizyjnym fotelu z bardzo prostej przyczyny: moja relacja nie byłaby dopuszczona do publikacji, jako że przeszkodziłaby obowiązującemu jeszcze wówczas ówczesnemu urzędowemu mitowi. Ciekawe, że nie tylko wyraził jakichś znawców epopei gwardzistów ludowych, lecz i sam biorący wówczas w połowie sierpnia 1943 r. udział w bohaterskiej ... jakkolwiek bezpiecznej, akcji zdemolowania do cna maszyn omlotowych i lokombaili w majątku Rudzienko przy szosie Stojadła pod Mińskiem - Koźbiel, nie wiedzieli absolutnie, jak to się stało, że przewodca akcji, a bodaj i dowódca Gwardii Ludowej na powiat miński, został w czasie trwania akcji przez kogoś niewiadomego zastrzelony. Konsternację ich opisuje właśnie uczestnik akcji, nie znany mi Franciszek Mówiński w sprawnie napisanym pamiętniku poświęconym "epopei" gwardyjskiej w latach okupacji w powiecie mińskim pt. "Szumnie, wierzby" (Warszawa 1972). Pan Mówiński, jak wynika z pamiętnika, gdyż nie miałem chyba przyjemności zetknięcia się z nim, był nauczycielem wysiedlonym z Poznańskiego. Jako znający doskonale "urzędowy" język, pełnił rolę "kapitana Klossa" in miniatur; pracował na dość samodzielnym stanowisku w landraturze, zaś po godzinach pracy był arcydzielny bojowcem. Poza nim brał udział w akcji F.N., o którym przed wojną "nasi starzy" przestrzegali nas: "Nie wychodźcie wieczorem na ulicę, bo was N.N. naleją", po wojnie zaś przez wiele lat nazwiskiem tej rodziny uświetniały nowe władze ulice, szkoły, nawet szkoły wyższe.

W akcji brał udział również S.D., któremu "niezaangażowana" fama mińska zarzucała dokonanie szeregu mordów politycznych na cieszących się popularnością w mieście pravicowych działaczach PPS (prawdopodobnie ci "odchyleńcy" samym swym istnieniem nie przeszkadzali w sformowaniu nowej władzy po odejściu Niemców, zgodnie z życzeniami Partii i tych, co nad Partią zza Buga stali). Ten to S.D., wystraszony, jak się bohaterem nie zdarza (oficjalna propaganda przedstawiała go, jako, począwszy od sierpnia 1944 r. - u nas PKWN zaczęła urzędować o rok wcześniej niż po lewej stronie Wisły, jako bohatera na miarę Beliny w życiu i Wołodyjowskiego w literaturze) reprezentował pogląd, który pamiętnikarz z miejsca oddalił w "Szumcie" jako niedorzeczny, że ktoś widocznie zastrzelił J.S. (kiedy ten nie wiadomo po co zbliżył się bez uzgodnienia z nimi do dowru) z okrągłego okienka nad gankiem. Mówiński oddalił ten pogląd dość dziwnym dla mnie jak na partyzanta oświadczeniem, że przecież "syn dziedzica" (bo to jego miał na myśli S.D.) "nie byłby tak naiwny, żeby strzelać z oręża, przechowywanego we dworze "nielegalnie". Jak przecież wszystkim, a zwłaszcza zawodowemu partyzantowi, powinno być wiadomo, że na wszelką broń AK, GL, NOW, NSZ, BCh użytkownicy zezwolenia od niemieckich władz okupacyjnych, myślę, nie mieli ... a przecież strzelali i to często, i z nieprzyjemnym dla okupantów skutkiem.

Zanim przejdę do sedna opowieści, pragnę zaznaczyć (później nie będzie już na to miejsca, że Świętochowscy, którzy odziedziczyli majątek po historycznej rodzinie Grabowskich, byli znani nie tylko ze swoich kontaktów z senioritatem przedwojennej literatury, lecz i jako kryształowi patrioci, usiłujący z powodzeniem, wraz z sąsiadem hr. Zamoyckim z Kołbieli, zjednać okolicznych wieśniaków do trzymywania się dawnych strojów ludowych i zwyczajów, które to - przede wszystkim stroje - nie ustępowały pasiakom łowickich księżaków, że w czasie wojny hojnie świadczyli na cele charytatywne dla wdów i sierot po poległych, na tajne szkolnictwo, a także mieli duże zasługi dla odnajdywania kryjówek mężczyznom, co popadli w niełaszkę "Niemieckiej Zbrojnej Mocy", jak to urzędowe "bekantmachungi" spalszczali groźne słowo "Wermacht..."). Czas już, bym opowiedział wreszcie, co wiem o J.S. i wprowadził do opowiadania jeszcze jedną ważną dla rozwinięcia fabuły, i nie tylko, osobę.

J.S., którego i oni, i przypadkowo szybko przybyli niemieccy żandarmi, znaleźli pod dworem (S.D. martwił się, że ich zabity kolega czy szef leżał na znak z ich bojowym pistoletem automatycznym typu PPsZ, przez co - martwił się - Niemcy, przejąwszy tę broń z ostatniego zrzutu lotniczego ze Wschodu, poznają tajemnicę jej konstrukcji: legendarny partyzant nie zdawał sobie widać sprawy, że niemieccy zbrojmistrzowie mieli już tej broni pod dostatkiem, pobranej z pól bitewnych, choćby pod Kurskiem i Orłem) był przed kilku laty moim, jak już powiedziałem, kolegą szkolnym. Chłopiec ani brzydki, ani ładny, smukły, ryżowłosy, o kropiastej twarzy, czyli zwykły chłopak wiejski, z tych, co niezbyt nadawali się do pozowania dawnym malarzom chłopomańskim i, współczesnej naówczas, Zofii Stryjeńskiej. Nie pamiętam, czy miał w naszej "budzie", założonej przez Polską Macierz Szkolną i w duchu jej wychowującą, jakichś przyjaciół. Wyjątkiem była niezmiernie lubiana przez wszystkich Kalina (imię zmieniłem). Trudno mi doprawdy do dzisiaj pojąć, co mogło tak bardzo zbliżyć do siebie tych dwoje. Kalina, córka cenionej nauczycielki wiejskiej w miejscowości, która wstąpiła się w historii Polski lat porozbiorowych, była nie tylko niezmiernie kulturalna, poważna, o bogatym życiu wewnętrznym i subtelna, ale i niezwykle piękna. Właśnie pięknnością uważaną za szczeropolską. Ze względu na urodę i jej typ, wybierano ją zawsze do modnych w czasach przedtelewizyjnych i w miastach nie odwiedzanych przez teatry "żywych obrazów". Miały one zwyczajowo charakter alegoryczno-patriotyczny. W nich Kalina, z rozpuszczonymi bodaj poniżej ramion złotymi włosami, zgrabna, z wiankiem kwiecica polnego na czole, uosabiała zmartwychwstałą po półtora wieku i wolną wreszcie Polskę... J. zaś był w zachowaniu - naturalnie w sytuacjach, gdy Kaliny nie było w pobliżu - bodaj normalnym ordynusem, jakich w miasteczku i po wsiach nie było znowu tak mało. Kalina zakochała się w J. i miłość ta bynajmniej nie była chwilowym zaślepieniem, trwała lata... Żeby czytelnik nie stworzył sobie nazbyt jednostronnego obrazu J. powiem, że oczu nie mogliśmy, wszyscy bodaj koledzy z "budy" oderwać, kiedy w czasie zabaw szkolnych para Kalina i J. tańczyła razem oberka, kujawiaka, rzadziej mazura, walca chyba nigdy.

Jakże tulili się, odskakiwali i doskakiwali przy skrętach! Jakie dziarskie J. wybijał łołubce, a Kalina wydawała się piórkami (mam na myśli lekkość tańca) i kwiatem (mam na myśli wdzięk i urodę). Wtedy też z twarzy J. zdawały się znikać czy znikać ta chropowatość cery i stawał się uosobieniem parobczaka jak malowanie w konwencji tancerzy Stryjeńskiej, a także z wesela Boryny z "Chłopów" ... Pamiętam - bodaj w czasie ostatnich wakacji - pojechaliśmy, paczka trzymających się wtedy razem chłopców, rowerami do murowanego budynku rodziców Kaliny. Po śniadaniu zaproponowała spacer. Bezwiednie oddaliliśmy się od reszty. Zwierzałem się jej, choć była w klasie o rok niżej (i co wtedy dużo znaczyło), wiekiem młodsza o rok, ze swych tamtoczesnych kłopotów miłosnych (osoby związane z tymi kłopotami dość często się wtedy zmieniały, nie byłem tak stały w uczuciach, jak niektórzy sądzą). Wtedy Kalina powiedziała coś w tym rodzaju - trudno po latach powtarzać ściśle: - prawdziwe zakochanie jest jedno na całe życie, do śmierci i, coś tam, zdaje się, było powiedziane: poza śmierć...

A teraz moje zapamiętane spotkanie z J. To jedno, choć mogło ich być - tożsamość miejsca - więcej. Koledzy wyjawili mi (a byłem w starszych klasach kimś w rodzaju przewodcy koła młodych jednego z potężnych, acz nie rządzących, obozów politycznych), że ten ustawiczny ponurak, z wyjątkiem spotkań podczas wielkiej pauzy, (kiedy to dzielili się z Kaliną śniadaniem) jest autentycznym komunistą. Z komunistami zaś przed wojną, zwłaszcza w naszym gimnazjalno-nauczycielskim środowisku, było coś tak, jak z duchami: mówiono, że są, ale jakoś nie zdarzało się, żeby ktoś takiego zobaczył. Koledzy złożyli na mnie jako "wodzusia" formalny obowiązek przeprowadzenia z nim publicznej dyskusji ideologicznej, mającej na celu przekonanie chłopca, że błądzi, przeto, że kocha nie Polskę, a tylko jakiś proletariata całego świata, któremu przewodzi nasz wróg Rosja Sowiecka (wtedy nie mówiło się "Radziecka"). Otoczyli nas liczni moi kibice. Żarliwa dyskusja nie odbiegała jednak - jeszcze bodaj wtedy nie mogła - poziomem od: "Ten wasz Lenin to łajdak". "A nieprawda, bo ten wasz Dmowski to łajdak". "Nie, bo Lenin", "Nie, bo Dmowski z Piłsudskim" i tak dalej.

O J. (zwłaszcza w pierwszych latach okupacji, bezhołowia, szoku i jeszcze należenia młodych ideowych do "organizacji") wtedy jeszcze nie mawiało się: do AK, BCh, Gwardii Ludowej, Narodowej Organizacji Wojskowej, tylko właśnie do "organizacji" (i tylko to w ogólnym odczuciu było istotne: tamte nazwy nie miały znaczenia). O J. słyszałem od młodziana, którego nazwiska nie pamiętam (nie żałuję, bo nie był najciekawszy), że ten ma łeb do szmuglu, że wyżywa się na zabawach ludowych, zwłaszcza w okolicach Cielechowizny i Huty, i jest niemałym rozrabiaką. Potem dowiedziałem się od jednego, jakoby był rabusiem, w co nie wierzę: od innych, że należy do jakiejś organizacji, tylko że to "jakaś wcale nie nasza organizacja". Czas już wprowadzić do opowiadania trzecią postać i po niewczasie już zasiąść wyimaginowanym krześle, które już się nie ukazuje w okienku tele..., urozmaicającym nam życie. Tę postać, której prochy leżą w mogile pod plotem, która przejawiała już dziś tendencję spłaszczania się i równania z ziemią. Inżynier Władysław Rdułowski, przyjaciel mojego szwagra, który na czas wyrwał się spod Kozielska, gdyż i on jako podporucznik rezerwy odszedł wprost od kreslarskiej rysownicy na wojnę z Niemcami. Ten też nie dał się wziąć do niewoli po wcześniejszym rozbiciu jego pułku przez Niemców i po niemałych tarapatkach wrócił do żony i maleńkich dzieci, które zamieszkały na czas wojny w Warszawie. Po jakimś czasie względnego spokoju, kiedy to już doszedł do normy nie najmocniejszy jego system nerowy, ukazała się rozwieszona wszędzie, gdzie się dało, odezwa niemiecka w dwóch językach, nakazująca, żeby wszyscy oficerowie, którzy brali udział w przegranej wojnie z "niemiecką zbrojną mocą" (tak pociesznie ichni tłumacz przełożył termin "Wermacht"), a którzy nie znajdują się jeszcze w oflagu, uczynili to bezwzględnie do dnia takiego a takiego i zgłosili się w tym celu w określonym zbornym punkcie, gdyż inaczej... To inaczej było wyjątkowo groźne, więc Władek przez jakiś czas nie pokazywał się poza swym pokojem, aż gdy ciemna broda, którą zapuścił, odpodobniła go znacznie od dawnego Władka, zmienił papiery i udawał swego własnego brata (sam p.por.Rdułowski widocznie... zginął w wojnie). Ową nową tożsamość oboje rodzice wmówili również i swym dzieciom. Moje siostry, które się z Lolą, jego żoną, przyjaźniły i ich odpowiadały potem ze śmiechem opowiadały, jak to na pytanie, gdzie jest tatuś, dzieci tłumaczyły, że zginął w bojach, a na pytanie, co robi wujek, oznajmiały, że sypia z mamusią.

Nie wszyscy jednak sąsiedzi uwierzyli w metamorfozę Władka, a szmalcownicy, o czym się dziś zapomina, czepiali się nie tylko Żydów, więc zaczęli coraz częściej nakłaniać Lolę i Władka do świadczeń pieniężnych za dyskrecję - świadczeń jak wiadomo, równie wysokich, co nie dających żadnej ręką. Wtedy moje siostry wywozły po kryjomu Władka do Rudzienka, gdzie zamieszkał u Świętochowskich. Tu może dodam, że we dworze pochodzącym z przełomu XVIII i XIX wieku, wybitnie polskim, z czterospadowym dachem, z gankiem o toskańskich kolumnach, z obok stojącym równie starym lamusem. W gościnnym domostwie Świętochowskich Władek odzyskał równowagę. Pomagał w tajnym nauczaniu, prowadzonym przez domowników i kogoś z ukrywających się na folwarku (uczył przedmiotów matematyczno-przyrodniczych, naturalnie). Z czasem wszedł w kontakt ze sztabem obwodu powiatowego AK - "Mewa-Kamień" w Mińsku i przystąpił do organizowania, i wdrażania w ćwiczenia proste, oddziału rekrutującego się z mieszkańców wioski - na razie w sile drużyny, uzbrojonego ledwo w jeden sprawny karabin i jakieś raczej muzealne inne narzędzia walki. "Żołnierze" byli dopiero po pierwszych ćwiczeniach, nie opanowali na razie zbyt dobrze systemu szybkich zbiórek na wypadek alarmu. A właśnie nastała pora żniw, kiedy taki żołnierz-nie żołnierz ma całą uwagę całkowicie zaprzętną czymś innym.

Kiedy gwardziści przystąpili do "heroicznej" akcji rozbrojenia maszyna rolniczych w ramach walki z wrogami Związku Radzieckiego oraz rodzimymi "obszarnikami", drużyna raczej chyba nie stawiała oporu czy też opór pojedynczy był tak słaby, że się nie liczył. Kiedy dewastacja sprzętu żniwnego była już tak zaawansowana, że dowódca nie czuł się już przy ich zakończeniu niezastąpiony, ruszył nagle z wycelowaną pepeszą do dworu. Co go do tego skłoniło, bo podobno wizyta u poszkodowanych "obszarników" nie była, jak powiadali jego towarzysze, zaplanowana. Ponieważ J.S., jak napomknąłem wyżej, zajmował się również na początku okupacji nie dżentelmeńskimi sposobami zarabiania pieniędzy, może chciał u bezbronnych, jak sądził i bezradnych właścicieli dworu wymusić jakiś dodatkowy "podatek", czy to na Gwardię, czy jakiś inny mniej urzędowy cel (nie chcę stawiać kropki nad "i")? Któż to może dziś ustalić, kiedy najbliżsi towarzysze (Mówiński) nie wiedzieli, a i jego rodziny najpewniej już nie ma: J.S. zginął przecież w kawalerskim stanie, niebawem Niemcy zaciukali i jego siostrę - też zaangażowaną w pracę w podziemiu... Dziwne, że tamci byli do tego stopnia zajęci tłuczeniem maszyn, że nie słyszeli w ciszy wiejskiej tak niedalekich strzałów? Bo gdy J.S. prawie doszedł z "oruzjem" do ganku, padł z okienka na pigterku wystrzał. Był imponująco celny. Władek Rdułtowski (on to właśnie strzelił) zbyt wielkich zdolności organizacyjnych, podobnie jak zbyt silnych nerwów, chyba nie posiadał, lecz strzelcem musiał być znakomitym. Dowódca niszczycielskiej ekipy był także strzelcem wyborowym (wiem coś o tym, bo brałem wraz z nim w czasach licealnych udział w szkolnych manewrach hufców przysposobienia wojskowego pod Koziennicami). Chyboczący się jeszcze za okienkiem inż. Władysław Rdułtowski otrzymał od gasnącego J. na kilka sekund przed jego śmiercią ranę, z której nie sposób było się wylizać.

To nie ja naciagam przebieg tych wspomnień i domysłów do tragedii w duchu Sofoklesa. Życie umie powtarzać nawet fabuły z najdalszych granic czasów... Nie dosłyszawszy - czego nie mogę właśnie zrozumieć - tamtych dwóch wystrzałów, zaskakujących przecież w ciszy wiejskiej - S.D., Mówiński, F.N. i jeszcze chyba jacyś inni kończyli daleko swoje dzieło i dopiero potem zainteresowali się brakiem przywódcy i przyjaciela. Gdy go odnaleźli, leżącego na wznak, w kamiennym zrukowaniu, z pepeszą w zastygłych dłoniach wymierzoną w dwór, mieli już tylko tyle czasu, żeby uciec z tego miejsca możliwie najdalej. Okazało się bowiem, że żandarmi niemieccy, jadący motorami akurat w pobliżu szosą kołbielską słuch mieli lepszy i strzały posłyszeli. Bez trudu zgromadzili wokół ciała "bandyty" (nie moje określenie: tak Niemcy nazywali każdego partyzanta) robotników folwarcznych i wieśniaków. Przy pomocy wiadomych dobrze każdemu pamiętającemu tamte lata bądź czytającemu o nich (po cóż więc je opisywać?) sposobami doprowadzili, że jeden z zebranych, który na swoje nieszczęście znał J.S. wyjawiał jego nazwisko. Na swoje nieszczęście, gdyż żandarmi, zamiast odwdziżyć mu się za informacje, doszli do wniosku, że on też musi być napadającym dwory, komunistycznym bandytą i zamęczyli go przez zbyt nerwowe śledztwo.

A w ogóle to śledztwo szło w złym kierunku. Zaniechali poszukiwań w mogącym wchodzić w grę promieniu, rozświeczeni przez swą bezradność czy też zaordynowawszy sekcję zwłok, a nie było skąd ściągnąć lekarza na to odludzie, postawili przy ciele straż, podobno oświadczając wszem wobec: "ścierwo bandyta nie zasługuje na pochowanie w ziemi, niech gnije na oczach ludzkich, bestia". A tymczasem grubo przedtem spod tyłu dworu wymknęła się jak najciszej suto wymoszczono sianem furmanka na polecenie przytomnych Świętochowskich i podała ciężko spiesznie z bardzo ciężko rannym Władkiem Rdułtowskim w kierunku Mińska. Naturalnie, do szpitala powiatowego. Dyrektor, zarazem ordynator odpowiedniego wydziału i konspiracyjny wyjątkowo spokojnie i racjonalnie droktor Grzeszak (tu wtrąca przy okazji, że uczyłem jego córkę na tajnych kompletach) zdołał natychmiast zawiadomić żonę Władka, Lolkę mieszkającą już w Warszawie, i moje obie siostry. Przebrane w fartuchy pielęgniarek, wraz z pielęgniarkami zawodowymi, ratowały, jeśli to słowo miało w tamtej sytuacji sens, w każdym razie opiekowały się umierającym mężem i przyjacielem rodziny. Przyszedł jeszcze Opiekun najważniejszy - Chrystus w postaci oplatka w ręku kapelana szpitalnego, i jednego z kilku kapelanów podziemia zbrojnego, młodego księdza Wiśniewskiego... Władek odszedł po kilku bodaj godzinach w Zaświaty w ślad za zabitym przez siebie zabójcą. Niczym na początku czasów historycznych Polinejkes za Eteoklesem z tebańskiego cyklu tragedii Sofoklesa. A tymczasem pod dworem żandarmi - a może, co jest bardziej prawdopodobne - policja granatowa czy nawet sołtys ze swymi mianowanymi przez "Regierung" stróżami pilnowali ciała J.S., żeby nikt go na razie nie ruszał. Jeśli to nawet byli żandarmi i strzegli nieruszania tu niczego przed sekcją zwłok (choć w tej chwili raczej wątpię, by się wtedy w takie metody śledztwa bawiono), to i oni z pewnością o obowiązku całkowitego poświęcenia się swemu stróżowaniu zapomnieli (nie tylko dlatego, że mieli inne ważniejsze w tamtych nadzwyczaj już niespokojnych dla tysiącletniej Rzeszy czasach) bo "gościnni" gospodarze poczęstowali ich czymś dużo atrakcyjniejszym niż strzeżenie zabitego "bandyty".

Rzecz szczególna, w tamtych dziwnych czasach nie było po wsiach, nawet i we dworach, telefonów, a przecież wieści o wypadkach, alarmy i ważne uzgodnienia przemierzały powiat i "gubernię" z szybkością tegratu bez drutu. Czy to nie tego samego dnia w nocy ze stosunkowo odległej wioski, w której mieszkała Kalina z rodzicami, wyruszyła w stronę Rudzienka inna furmanka. Powoziła Kalina, z kamienną twarzą (w tamtych czasach dziewczęta płakały rzadko, nawet i przy największych nieszczęściach). Miała też, myślę, i jakiegoś męzczyznę do pomocy. Ubutelkowieni, a może nawet i zdumieni, że ktoś tak bezceremonialnie - widocznie posiada "Befehl"?! - zabiera właśnie to, czego mają pilnie strzec i właszcza na furę - nie zareagowali jak trzeba... Współczesność powtarza, i to nie raz - prądzieje, nawet te z czasów spłotu historii z baśnią, której nadawano charakter religijny mitów, a wnet potem z czasów życia geniuszów, które tym wydarzeniem dawały nadwieczysty kształt dramaturgiczny. Kaliny nie sposób chyba w tej właśnie sytuacji odróżnić od Antygony - córki Edypa i Jokasty. Wbrew najwyższemu zakazowi wykrađa zwłoki zabitego i pochowała je - z księdzem czy nie, nie wiem, w każdym razie w ziemi poświęconej. Traf chce, że grób (po wojnie zmonumentalizowany) znajduje się nie tak daleko zapadającej się już w ziemię mogiłki z krzyżkiem inżyniera, podporucznika rezerwy WP i AK Władysława Rdułtowskiego. Krzesło w telewizji, o którym była mowa na wstępie, nie zostało w tamtym, nie całkiem odpowiednim momencie zaludnione. Lecz, że w tamtym najdziwniejszym i bodaj najkrwawszym z czasów działała zawsze niezawodna agencja JPP (Jedna pani powiedziała), sprawiła ona, że i dziś po pół wieku mogą - choć może z jakimiś nieuniknionymi omyłkami: zwłaszcza, że gołe fakty sąsiadują tu z przypuszczeniami - zaspokoić nie tylko ciekawość (mam wrażenie tylko urzędową) tamtego pana od telegazdek okupacyjnych, lecz i zaspokoić rzeczywistą czy choćby tylko potencjalną ciekawość patrzących nie tylko w przód, lecz i w przeszłość mieszkańców mego rodzinnego miasta i upomnieć się u tych mieszkańców, których nazywamy wpływowymi, o opiekę nad krzyżem i dzisiejszym bezkwiectem grobu współczesnego "Polinejkesa" bo także - umarli są sobie równi, bo na równi podlegli Panu Świata - nie wieńczonogo ostatnio jakoś "Eteoklesa".

